

Stanisław Szudrowicz

Sygnatura notacji: **N0461**

Data urodzenia: **23.10.1928 r.**

Data nagrania: **19.04.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Legnica, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **64 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Szudrowicz Stanisław: Nazywam się Szudrowicz Stanisław. Urodziłem się 23 października w 1928 roku. Mój tatuś był w wojsku w Straży Granicznej i był wtedy na granicy rumuńskiej, od strony Rosji tutaj. I tam się urodziła siostra. Tatuś dostał przeniesienie do Rudy Śląskiej koło Katowic. I tam ja powstałem, mamusia mnie pojechała urodzić, bo to nie było kiedyś tak jak teraz, nie? Urodzić do swojej mamusi do Tarnopolskiego, do Borszowa. I tam mnie urodziła, byłem tam 4 tygodnie i powróciliśmy, znaczy powróciłem z mamusią do Rudy Śląskiej koło Katowic. Ojciec mój był w Straży Granicznej. I tam jeszcze później miałem brata i miałem siostrę starszą, 1924 rocznik, była głuchoniema. I po pewnym czasie życia, tam dorastałem, tam chodziłem do szkoły: pierwsza, druga, trzecia, czwarta, piąta klasa, miałem przejść do piątej klasy i zaczęły się rozruchy już z Niemcami. To był rok 1938. Pamiętam jak Niemcy wypędzali Żydów już z Niemiec, a mój tatuś w Straży Granicznej akurat służbę miał. I to przypędzali do granicy, to była noc – jak się nazywała ta noc taka, tam po niemieckiej stronie? – I zatrzymali wszystko, bo to Żydów wypędzili w nocy, tak jak stali, w koszulach, bez koszul, dzieci i tego. A to był chyba sierpień, już taka była pogoda, o nie za bardzo. Tam dojechało wojsko, wstrzymali to trochę, żeby uzgodnić teraz, bo Polska nie chce przyjmować ludzi. No to tam to się rozłożyło na tej łące, bo granica była taka sucha, że można było... Ulica i krok dać i był w Niemczech. No i tam uzgodnili i tych Żydów, żydostwo wszystko przybrali do Polski. I widzieli się, tatuś dostał rozkaz później, żeby rodziny odsunąć, wywieźć gdzieś do Lwowa, bo już robiły się takie zamęty. Już tam jeden most minowali, bo akurat do Niemiec pociąg jechał, był most. I tatuś dostał rozkaz, żeby nas stamtąd gdzieś usunąć, bo wojna miała być trzy miesiące, nie? Jak tak przepowiadali. No i to też tatuś... Ale mamusia mówi: – To po co będziemy się tłukli po Lwowach, jak w Tarnopolskim mamy dziadków. No to więc się zgodzili, że pojechaliśmy tam. Ale w międzyczasie, gdy się wojna miała zacząć, tatuś miał kolegę, bardzo dobrego kolegę, i oni się spotkali tam, znaczy, byli razem i umawiają się tak: – Słuchaj, wojna

będzie. – A jemu zmarła żona i zostawiła dwie córeczki – – Słuchaj, jest taka sprawa, weźmy takie zdjęcie – właśnie tu będę miał – rozerwijmy to zdjęcie na pół i Ty weźmiesz jedną połówkę, drugą połówkę zaopiekuj się i umówimy się. Krwią sobie ponaznaczamy palce i umówimy się tak: „Jak ja zginę, Ty się zajmiesz moimi dziećmi, znaczy, rodziną. Jak ja zginę, to Ty znowu tego”. No i teraz Niemcy, wojna i zaczyna się szarpanina, nie? Wypierają Niemców raz tu, raz tam, potem tędy. Później zaparli się Niemcy, bo już najechali, to była Ruda Śląska. I proszę Państwa, i oni odpierali. Jest taka miejscowość Lipiny Śląskie, tak dalej, i karabiny maszynowe. Ojciec się kładzie, on pada koło ojca, strzelanina. Po chwili mój tata się podnosi, a on został karabinem maszynowym przepruty. No oni go jeszcze tam na nosze wzięli i nieśli go do Katowic. I on w tym czasie, gdy go nieśli, mówił: „Michał, masz tu zdjęcie swoje”, nie? I właśnie to jest ta jedna połowa, nie? No i donieśli go do Katowic i zmarł. No i tatuś tak z wojną, wiadomo jak tu uciekali, tego, no Niemcy parli, nie? No i tak dojechał aż poza Lwów. Za Lwowem go złapali, tam ich połapali i siedział, ich zamknęli na Podzamczysku we Lwowie.

Szymon Nowak: Ale Rosjanie już czy Niemcy?

Szudrowicz Stanisław: Nie, nie, nie. Tak, tak... Zaraz, zaraz. No Rosjanie, tak, tak, tak, Ruscy, Ruscy, tak, tak, tak, tak. No i mój ojciec, wiadomo tam kręcili, kręcili i czterech panów i mój ojciec między tym uciekli. Jakoś im się udało uciec. No i po lasach, po lasach, po lasach. A mamusia, jak już miała się wojna zacząć, znaczy, te momenty, pojechała do Rudy Śląskiej jeszcze, zrobiła tam swoje rzeczy, trochę zabrać, bo kto to wiedział, że tu będzie koniec, nie? No i nadała na bagaż i ten bagaż do dzisiaj jedzie. No i zabrała te dwie córeczki, znaczy, te dwie dziewczynki i razem z nimi przyjechała do Skąty Podolskiej nad Zbruczem, tam, gdzie dziadek mieszkał. No i rodzina się powiększyła, znaczy, bez ojca czwórka, zrobiła się szóstka. Wiadomo, no i tam u dziadka. No i tam chodziłem wtedy jeszcze do szkoły, poszedłem do szkoły, pamiętam, i jeden dzień, 17 wrzesień, a 16 września straszna mgła była, straszny warkot, a dziadek mieszkał nad Zbruczem tak jak, ja wiem... 300 metrów, 250 metrów od Zbrucza. Bo Skąta Podolska jest na górze, Zbrucz na dole i później Zbrucz, rzeka Zbrucz. No i tam, bo rzeka Zbrucz wtedy była granica, słupki były w rzece, to było dotąd tego i było tam, znaczy mur, chiński mur, z ruskiej strony nie było nic widać. No i straszna taka w nocy burza, niby nie burza, mgła tego i rano strzelanina, mamusia nas ubiera: – Szybko, uciekajmy do lasu! No bo wiadomo, a tak las blisko był, nie? – Uciekajmy do lasu! A dziadzio wychodzi i mówi, przychodzi: – Już nie uciekajcie, już komuna jest u nas. No i naraz koło naszego domu, koło dziadka, lecą, nasze wojsko ucieka, Rusy lecą, tu kawaleria, tu czołgi, tam tego... W Skale Podolskiej samej. I proszę pana, gdybyście widzieli, jakie to wojsko jechało.

Szymon Nowak: Proszę mówić.

Szudrowicz Stanisław: Na koniach kawaleria, żołnierz szedł pieszo, a koń pod nim, nie? Siodło, worek siana. Jak to się te włosy, tam jakoś nazywają, nie? Te lejce, tego. Siedział, tu sznurek i jak odpoczywali tam w jednym miejscu, to siodło wyciągał, konia paść, nie? Koń się najadł. Jak wpadli do sklepów Ruscy, rzeźniczych, tego, kiełbasami się obkładali, idą „ot, haraszo”! A tu proszę pana, straszne rzeczy się działy, wojsko. I do czego jeszcze dochodzimy. Jak u nas wywozili od tego, ze cmentarza – jak on się... Rokosowski chyba – no to krzyk wielki, że tego. A Ruscy tylko jak wjechali, była Straż Graniczna, koszary, rynek był i Piłsudski siedział na rynku, to pierwszy zajechał czołg, łańcuchy i do Zbrucza zawiózł. Nie? Tak było. No i proszę pana, dalej. To dojechało się tutaj, teraz. No i wojna.

Wojna się zaczęła, wojsko uciekało, no wiadomo, wszystko ucieka. Później przez parę dni się uspokoiło. Ja już do szkoły nie poszedłem, bo nie było. A to w piątej klasie byłem. I proszę Państwa, wojna. Muszą chodzić na te miotyngi, zebrania, bo tam przyuczali, jak to tam, jak to to, tego jest. No i za jakieś cztery miesiące ujawnił się jeden pan, ojciec do dzieci. Przyszedł kolejarz, bo tam dziadek miał znajomości, przyszedł, że trzeba iść tam na takie miejsce, na Wygnankę i o tej godzinie on wyjdzie z lasu. No i to wujek zaprzęgnął konie i pojechali wieczorem tam na tę Wygnankę. Taka Wygnanka, taka stacyjka Wygnanka, a tam mój dziadek miał znajomości wszędzie miał, nie? No i mamusia, wujek zaprzęgnął konie i pojechali po tego ojca, ale nie wiadomo teraz czy to jest nasz ojciec, czy tych dzieci ojciec, nie? No dzieci się cieszą, oni się cieszą, my się cieszymy, nie? No i pojechali do... Ale to już wieczorem wszystko, nie w dzień. Lasem trzeba jechać i myśmy, pamiętam, wyszli niby po tego spotkać. Też do lasu. Patrzymy się: taki zarosnięty, Rumcajs taki, w łachmanach, nie w mundurze, brudny. I mówimy: – Chyba nie tato. Nie wiadomo kto, no bo brudas, w takich jakichś łachach. No i tam podjeżdżają: – Mój tato! A dzieci: – A gdzie nasz tato? „Wasz tato no był, ale gdzieś jest”, nie? A na wojnie, a jego już, no ale... Mojej mamusi tato powiedział, ale trzymali to w tajemnicy. I tak później przyszedli po ojca jednego dnia, chcieli zabrać ojca Rosjanie. Ale tam dziadek znowu miał wiadomości, bo trzeba chodzić na te pouczenia, na jakieś tamtego, i zawsze dziadek jak chodził, to przynosił zaświadczenie, że Michał był. A mój tato się ukrywał. No i tutaj ojca przyszedli brać. Pełno tych żołnierzy pod okna, a ten komendant w tego i tam, i mamusia mówi: – Nie, jak idziemy, to bierzcie nas wszystkich. Nie samych. Ale jakoś ubłagali. Dziadek te zaświadczenia powyjmował, mówi, że kłamią Ukraińcy, na Ukraińców, bo to były takie wtedy już bandy, nie? No i zostawił ojca. Ale na drugi dzień ten faktycznie Ukrainiec przychodzi i mówi: – Uciekajcie, bo jesteście na liście teraz wszyscy już razem. No to wujek długo nie myśli, zaprzęga konie i wiezie nas do tej stacji Wygnanki, gdzie ten znajomy naczelnik jest. Więc dojechaliśmy tam, on nas przenocował, rano w pociąg i do Lwowa. We Lwowie, żeśmy zajechali do Lwowa, tato tam miał znajomości i mieszkaliśmy, zaraz mieszkanie żeśmy tam znaleźli we Lwowie na ulicy Grodeckiej 23 i tam żeśmy byli chyba, że to był marzec, a w czerwcu nas przyszedli Ruscy, zabrali, to w marcu, żeśmy tam byli. Jakoś się człowiek tam męczył, bo to i kolejki już są w sklepach, to i cukru nie ma, to tego. I my nic nie mamy, tylko to, co z nami. A my jesteśmy jako dzieci w sandałkach, w krótkich spodenkach. Tak jak żeśmy chodzili, bo kiedyś jak tak z miasta, to było poznać dzieci, ubrani są, a jak tak w długich spodniach chodzili po wsiach, nie? No i proszę pana, 29 czerwca, na samego Piotra i Pawła przyszedli rano o godzinie czwartej: „Zabieraj się”. W tym budynku też mieszkało państwo żydowskie. Dwie rodziny, sędziowie, też ich zabrali i nas. – Pięć minut. Ubrać się i nic. Ale my tam nic nie mieli. Ubrać się, mama nas w sandałki. Mamusia mówi do mnie: – Staszek... – No ja miałem wtedy 10-11 lat – Uciekaj, uciekaj! Jakoś się do babci dostaniesz, nie? No to ja chciałem, a ja, że do ubikacji chcę, to on nie puścił mnie tylko, do ubikacji za mną i stanął z karabinem. Ja siedzę, a mnie się akurat tak chciało, ja w strachu byłem. Ale samochód, bo my na piętrze mieszkali, a samochód jest ustawiony tyłem do drzwi, no bo oni cwaniaki. No i proszę pana, zesłaliśmy, zabrali nas wszystkich, tam nie było co zabrać, nas szybko ubrali i zawieźli na taki plac szkolny we Lwowie, na taki zborny punkt. A wyczytali nazwiska mamy, taty, ojca. – A gdzie ojciec? – Ojca nie ma. A ojciec nie nocował nigdy w domu, bo się ukrywał, tam do kolegi poszedł gdzieś. To czyta: Szudrowicz Michał, Helena, wszystkich nas – są. Pięć minut. No to mama raz, raz, raz, raz, no bo co tego. I obrazek Matki Boskiej pierwszy do torby. Nie ma nic, nic nie mamy. No i proszę pana, zawieźli nas na ten plac. O 10 godzinie ojca przyprowadzili. Znalazł się, nie? Bo oni mieli tam tego. No i proszę pana, tam trzymali nas do godziny gdzieś jakaś 17:00 i na placu, na zamczysku już wagony były podstawione i do każdego wagonu po 50 osób. I takie dwie półki, jak to w wojsku było, tylko dwie półki, jedna deska i druga deska i z drugiej strony. I 50 osób. Te okna zakratowane kolczastym drutem,

drzwi, jak nas 50 osób wsadzili, zamknęli na śrubę i tylko okna dwa i taka dziura koło drzwi. To jest ubikacja. I te prycze. To niech pan sobie pomyśli, 50 osób. Dzieci, starsi, młodzież studencka, bo ten transport sama inteligencja jechała. Wojsko, oficerowie, prokuratura, sędziowie, leśnicy, tacy sami, jak to się mówi, elita. No i proszę pana, wie pan, to z początku to tak każdy „ę”, „q”, my się nie znamy, my tego. Dzień, jeden, dwa, to już było tak początkowo. Wiadomo, jak się mężczyzna załatwia, a jak kobieta. No ale zastaniali się kocykami tego tam pierwszy dzień, drugi. Już czwarty dzień. Już jest jakoś jednakowo. Nikt sobie z tego nic nie robi. Wiadro dziennie wody. Droga 21 dni. Bo tak, jadą, po drodze drzewo ładują, bo węgla nie ma, wodę, jak jest, to wiadrami noszą do tendra. No i z każdego wagonu po jednej osobie z wiaderkiem wody sobie przynieść. Wiadro wody na 50 osób. A jeszcze jak pan wniósł wodę to... Wie pan, no to jeszcze tam... no ale mniejsza z tym. To tak, dzieci popijali troszkę, starsi troszkę, a to resztę to, a mycie to tak. I tak jechaliśmy 21 dni. Dali nam dwa razy kiełbasę, taką słoną, żebyśmy się wykończyli i raz śledzi dali. To przez 21 dni. A to nikt, no bo to tak, bo jak ze wsi jechali, to tam zawsze coś mieli, a myśmy nic nie mieli, nic. Tylko to, co... A my w bluzeczkach, jak chłopcy w krótkich spodenkach, mamusia tam ubrana tego. I tak żeśmy jechali 21 dni, aż do Gorki. Przecież nie tak daleko było, no ale po drodze. No i w Gorki przeładowali nas na... na barki, na wodę, na Wołgę, bo... nie na Wołgę, bo Wołga płynie i Weduga. I tam nas przeładowali, wieźli nas dwa dni tą Wedugą, i do takiej rzeki Kuma. I tam nas ładowali, tamśmy jechali. Komary. Matko jedyna! To tylko, że na barkach była taka blacha i można było dym się tego... Ale to gryzły, tak komary żarły. Tam nas przywieźli do tych... Też była rzeka Kuma i wioska Kuma, nie? No i tam były baraki, drewniane, co prawda. I dali przydział. Na każdym baraku sto osób. I kajuty, porobione takie kajuty, ale nie deskami do sufitu, tylko tak, żeby powietrze przechodziło. Bo na środku stał piec, tam się paliło zimą i żeby to ciepło dostawało się do tego. I w takiej kajucie mieszkało nas siedem osób. Prycza, takie wąskie przejście i taki koło okna stolik. I teraz spało się w siedem osób. Ja spałem z jednej strony i takie wejście tam i mój ojciec z tej strony. I teraz, jak leży się, a tylko na boku można było spać, i kto jak, no bodli, nie, to obracamy się. No to jak ten siódmy się nie obrócił, to spadł. Rano się budzimy i mówi: – Co wy tacy, po wojnie? Gęby czerwone, a to pluskwy takie, one spadały z sufitu, gryzły, to człowiek... A ciemno w tym, nie ma światła żadnego. I tak jak rano się pobudzili, całe, jak to się mówi, pyski czerwone. No niby to się śmiać, ale... A smród, bo jak ona się rozgniotła, ta pluskwa, to taki nieprzyjemny smak [zapach]. No i tam dali nam jeden dzień spokój, nic tego, tylko chodziła komisja, spisywała. I dali nam pierwszy dzień ze stołówki shi, a shi to była taka, że kapusta kapustę goniła, a ziemniaka wcale nie było. I dali po pół kilo chleba na tego. No i trzeci dzień do pracy mężczyźni: piły, siekiery. Wszystko to do pracy. I rano zbiórka, odlicz i tyle, tyle idzie do lasu, tyle, tyle musi wrócić z lasu. I wycinę drzewa. I ekipa druga, bo to w lesie bagna, musiała budować drogi. I teraz musieli ścinać drzewo. Kładli, tak jak szyny robili. Tu jest, a tu wolne, żeby samochód jechał po tym, a samochody na holgaz. Tak jak te gazowe są teraz u nas, a tam była butla z boku jedna, butla druga. Tam cięto się drzewo, rzucano się brzozy do środka, zamykali i wytwarzali gaz. No i tak to i drzewo, i jak zrobili już tę drogę, samochody i wycinki drzewa. Ludzie giną, bo to pan sędzia czy tam prokurator, to on tak wie, jak siekierą. Drzewo leci, buch na niego, to trzeba uważać przecież, w którą stronę, a to się kręcą tego, ale mnie już tam... No i zawsze dziennie tam dwa, trzy pogrzeby. No bo jak nawet końcówka drzewa jak cię dostała, to to głowę przecinała nawet. No i tak żeśmy tam przybyli, proszę pana. A my tak że całą zimę, bo trzeba było to drzewo. Ja jak skończyłem 12 lat – do pracy. Jak chcesz chleba, trzeba pracować. I właśnie dali mnie do takiego miejsca, gdzie samochody nabierali paliwo. I musiałem teraz tak zrobić przez 12 godzin, 12 koszy, takich jak ulice ogrzewają, takie z drutów. Stoisko, każdemu kłocę drzewa brzozy i musiał się na takie klocki ciąć i jeszcze przerzubać to na pół. Kierowca przyjechał, trzeba mu podać. Ja tam miałem tych 12 lat, to taki

byłem szczuplutki, ale trzeba, chciałem chleba, to jak? Jak zrobiłem 10 koszy – 25 deko chleba. Bo normy nie zrobięś. A wody pij, ile chcesz, rzeka płynie, pij. No i tak tam, żeby tego. To mamusia, jak te drogi już były gotowe, to trzeba pilnować teraz, żeby nic nie było na tym drzewie. Na tych szynach niby, nie? I to musiały sprzątać, to kobiety sprzątały. I to tak mieli, każda kilometr miała. To jedna robi jeden, ale że tak szła i spotykała się z następną. A w nocy też musieli sprzątać, bo to w nocy robota też szła. A zimą znowu śnieg padał, zamarzało. Koń jechał środkiem, miał takie sanki, dwoje sanek że tego kładli i po tych szynach i taki wózek jechał, robił szyny. Wodę polewają, żeby lodzianka była i jeden koń ciągnął to, co samochód woził. Tylko konie takie były. Tylko, że jak tam naładowali to drzewo, to trzeba było to poderwać z miejsca, bo metalowe miał spody. No i proszę pana, to znowu kobiety miały za zadanie zamykać, że jak śnieg popadał, żeby tam była lodzianka dobra. No i każda kilometr miała. To tak w noc i dzień, noc i dzień trzeba tak. I później na wiosnę spław drzewa, to znowu trzeba było jak chłopców brali, bo to do rzeki tak rzucali, dostawaliśmy takie bosaki i trzeba było teraz jak zator się zrobił, to po tych belkach trzeba było umieć latać, no i rozsunąć te belki, żeby płynęły, bo właśnie tą rzeką aż do samej Wedugi wodę trzeba było, te drzewo prowadzić. I tak byliśmy tam, proszę pana, do roku... Półtora roku, półtora roku. Może ja zaraz... o, tak. Od lipca 1940 roku w tym posiołku do 1941 roku, jak Niemiec zaczął bombardować. Jak się zaczęła wojna, to wtedy dostaliśmy rozkaz, żeby się ubierać i nas znowu zawieźli do miejscowości Gorki, wszystkie baraki zawieźli do Gorki i tam wsadzili nas na taki statek, jeszcze na te koła, Woroszyłów, i proszę pana załadowali nas na dół, bo tutaj jechała inteligencja tam jakaś ruska, a nas tutaj tego... Ja cały czas oglądałem jak rybki pływają. I znowu jechałem z miejscowości Gorki do Astrachania 21 dni. No tym statkiem, nie? Były burze, tego, tamto. I tam żeśmy dostawali też troszkę jeść, ale tylko tak, żeby tego. I tam jechaliśmy przez... Bo były takie miejscowości, że można było wysiąść, to przez Stalingrad, tamte miejscowości, tamte wszystkie to tak niby odwiedziłem, ale tylko tam stopą byłem. Zajechaliśmy do Astrachania i znowu nas w Astrachaniu wysadzili. I nie do baraków, tylko na taki plac. Proszę pana, nie wolno – bo taki plac, parę drzew było – nie wolno było pod drzewem więcej ludzi jak 5 osób. Bo wojna. Znaczą, już Niemiec później, jak już bombardował tamte wszystkie miejscowości. No i proszę pana, jesteśmy na tym. I tam chyba byliśmy dwa tygodnie i na barki nas naładowali i zawieźli nas tam na ten swój teren. Zawieźli nas tam i tam krowy mieliśmy. I też znowu półtora, chyba półtora roku znowu. I w Astrachaniu jeszcze taką opowieść Wam powiem, że dawali po 15 kilo chleba. I mamusia poleciała tam wziąć, bo to chleba trzeba, nie? Wzięła mamusia, poleciała po ten chleb. A w międzyczasie tam stała w kolejce, a transport ruszył i wiozą nas dalej. Bo my już w transporcie jesteśmy. I proszę Państwa, wiozą nas, mamy nie ma. A mamusia została tam z dwoma mężczyznami. I teraz tak, tajemnica, gdzie pojechali? Prokurator nie powie. Jakim transportem? Prokurator nie powie, bo to wojna. Tajemnica. No ale moja mamusia tak, to do prokuratora, mamusia taka uparta, on ją drzwiami, to mama wejdzie z tyłu, ale w końcu oddał mamie ten numer transportu. Ale za co? Bilet mama musi kupić. I mamusia moja, proszę pana, sprzedawała żołnierzom ruskim kromeczki chleba. Cztery kromeczki, żeby kupić sobie bilet. Żołnierz, który był na froncie, sto rubli płacił za kromkę chleba. Niech sobie pan wyobrazi. Mama myśli tak: piętnaście kilo chleba, to rozda chleb, to nie będzie... Dzieci pojechały, nie? A pojechaliśmy nas piątka, nie? I ojciec szósty. I teraz... Co będzie? To mama sprzedała cztery kromki, żeby kupić te chleba. No i z tym chlebem teraz, bo dostała zezwolenie, jaki numer transportu tego. Nas wiozą towarowymi przez Ural, tamtędy, proszę pana, kawał drogi, Czelabińsk, Pietropawłowsk, hej do Akmołińska aż. Proszę pana, my jedziemy 21 dni znowu. Ale mamusia nas łapie za Uralem w Czelabińsku. Patrzymy się tak, nasz transport stoi, jedzie osobowy pociąg, bo przepuszczają, patrzymy mamusia w oknie, no ta radocha. I mamusia się dowiedziała, że transport nasz będzie stał. No a mamusia do stacji dojedzie i mamusia dojdzie jakoś tutaj do nas. No wie pan,

przywiozła mamusia chleb – ja już tu opowiadałem paniom – taki zieloniutki, ach taki zieloniutki. Bo siedziała na tym chlebie, nie jadła, no tam jadła, no ale tego. I proszę pana, myśmy ten chleb zjedli, zieloniutki, taka była gruba ta pleśń. Żyję? Żyję. Jak to mówi się, że jakaś witamina, tak?

Szymon Nowak: Penicylina.

Szudrowicz Stanisław: No, penicylina, tak? Żyję. No dopiero radocha, nie? No ale teraz jeszcze od Czelabińska jechaliśmy aż do Akmolińska. Tam nas znowu wysadzili. I tam tak, dali nas do kołchozu, ale te całe nasze towarzystwo, bo cały transport. Nie zgodzili się na ten kołchoz, bo to taki maleńki kołchoz. Mieliliśmy mieszkać w takich ziemiankach. No i proszę Państwa, myśmy mieszkali w takiej Juriwce, troszeczkę miasteczko, gdzie były magazyny zbożowe. No z kołchozu zwozili zboże. A tutaj tego znowu przeładowywali, mełło się i w świat rozdawali. I tam byliśmy aż do roku... Cztery razy byliśmy przewożeni. I w Kazachstanie... Aha, i ojciec z Kazachstanu poszedł do wojska, bo dostał tego. Poszedł, odszedł do wojska, a jeszcze przed wojskiem zebrali nas, znaczy, nas dzieci nie, tylko Polaków dorosłych, żeby podpisywali obywatelstwo rosyjskie. I tak wprowadzali do kajut, tędy wpuszczali i kto podpisał, to wypuszczali tędy, a kto nie podpisał, to to tędy, nie? I tak, siostra moja miała podpisać, ale głuchoniema. Matka i ojciec, to tam ona nie, ona się nie godziła, a mama z tatą też się nie godzili. To mama z tatą nie przyszli do domu, bo ten, co przyszedł, to wychodził, a ten, co nie wyszedł, to do piwnicy. I moi rodzice cztery dni siedzieli. Mój ojciec przyszedł taki białutki. W ścianę strzelali, kurka, rąbali jak Holender. Ale tato powiedział: – Nie podpiszę, zabijcie, nie podpiszę. No i przyszło tego, już mieli dość chyba. Bo tato powiedział: – Absolutnie! Jestem Polakiem i takim muszę być. No i proszę pana, te później jak wyszli, to wie pan, pilnowali i takie roboty dawali, żeby tego. Ale gdzieś tam, proszę pana, napotkał ojciec Polaka, jak w 1936 roku równali granice polsko-rosyjską. To teraz tak, ci, co Polacy, zostali po tej stronie, to po ruskiej stronie, a co Ruscy, co zostali, to byli po tej stronie. I później przez to tam nastąpiła taka, tam była straż graniczna, a później dali KOP. Dlaczego? Bo tak, ci, znaczy, Rusy chcieli tu iść, Polacy uciekali stąd, a Rosjanie się nie godzili, nie? To tam ucieczkę i później musiało być wojsko na tej granicy. Straż Graniczną dali na niemiecką granicę. I proszę pana, ja wrócę, to jeszcze powiem. Mur, teraz robią mur ten, prawda? To trzy wielkie rzeczy są. Kto to dał? Ruscy. Tam, żeby kto był w Skale Podolskiej i na tych terenach, tam się mur ruski ciągnął ponad 30 kilometrów. Ten ruski mur to tak wyglądał, bo ojciec zawsze, gdy przyjeżdżaliśmy tam na wakacje, prowadził nas tamtędy na ten Zbrucz i pokazywał nam: – Chłopcy, patrzcie się, tam jest Rosja, z tamtej strony, ale nie wolno palcami pokazywać, nie wolno. I patrzcie się tak uważnie. A tylko dachy widać, taki mur jest, że tylko dachy widać. – Tam się przyglądnijcie dobrze. Jak patrzcie się tak dobrze po tym murze, jak coś błysnie, to tam żołnierz siedzi. Tylko palcami nie pokazujcie. No to tak mówię, a to tak, jak on tam siedział z tym karabinem, słońce błyskało i tylko było widać. A to było tak, ten mur, droga orana, znaczy, pole orane, bronowane i pełno takich puszek, nie puszek, to ponawieszane. Jak uciekali, żeby to dzwoniło. I tak strasznie było. I proszę pana, i tam żeśmy przebywali, teraz, jak ja już mówiłem, bo ja o tym murze zjechałem, tam żeśmy przebywali do roku... No pracowało się, wszystko się robiło. A z jedzenia, jakbym panu powiedział, co ja jadłem, to pan może by jutro obiadu nie chciał jeść.

Szymon Nowak: Proszę mówić.

Szudrowicz Stanisław: No normalnie, wchodziłem na... Jak latem wchodziłem na drzewo, gniazda wyciągałem,

jakie były, czy zależne, czy niezależne. Ja schodziłem, nieraz tak mi krew ciekła z gęby. A brat pod spodem mówił: – A mnie nie zniosłeś. Ja mówię: – Dobra, wejdę ją na drugie. Proszę pana, buty. Wychodziłem na lipę, no bo nie było nic, wychodziłem na lipę z parą łapci i jeszcze sprzedać i tego. Tam sobie porobiłem z kory, zdzieralem korę. Żyło się. Wybieraliśmy jajka. Jak byłem nad Kaspijskim Morzem, wybieraliśmy jajka tych... No popatrzcie teraz...

Szymon Nowak: Żółwi?

Szudrowicz Stanisław: O, żółwie. Szło się po śladzie. – O, jest. Faktycznie tych jaj tam jest dużo, ale to nie braliśmy wszystkie, tylko trochę, te pod wierzchem. I kawałek odszedł sobie. A taka gorąca była w Astrachańskim, że bosą nogą pan nie stanął. Przysypał troszeczkę i za chwilę już są jajka do jedzenia. A byłem w takim miejscu, proszę pana, że woda wylewała, całe wioski pozalewane, całe wioski, bo Morze Kaspijskie, to jest morze, znaczy, morze, ono nie ma odejścia wody, nie? I tam jak... Znaczą, są te.. Już wiosna, to woda wylewa z tego morza i idzie po wszystkich polach. No i wtedy ryba, nie ryba, jest tego, wszędzie jest ryby pełno, wszędzie. Tylko że nie widać, czy to dół, czy nie dół, trzeba uważać było. I proszę pana, to ryb było do licha i trochę. Ale nie, bo tam ryby to tak, ile się tam zjadło tego, chciało się takiego mięsa, troszkę tego. I jesteśmy z ojcem na takim miejscu, gdzie było wypędzone w góry i proszę pana, ojciec mówi: – Staszek, czekaj tutaj, rozpal ogień, dwie cegły... – I takie gary były, że na ogniu się stawiało, nie? – Rozpal, ja zaraz przyjdę. A tato wziął sobie taki kij, strugał, no takie tego, i jak woda w nocy, burza była, i ryby powyrzucała, to pełno wron, no bo wrony jeść chcą. No i proszę pana, to ojciec zachodził i rzuca kij, wrony się zrywają. I jedna, dwie, trzy, cztery, pięć już niesie wron i dawaj, skubanie i już jest jedzenie. Żyło się, musiało się żyć i zabierało się. Przy wielbłądach, wielbłądami kosiłem łąkę, gnoje wywoziłem wielbłądami. Wie pan co wielbłąd potrafi panu zrobić, jak pan mu krzywdę zrobi? No proszę pana, naładowałem gnoju, jak było z jednej strony i drugiej strony, a tu jak się gnój rzucało i tak się ładowało i żeby zrobić szybko normę, to się ładowało, ile się dało i na takie przyzmy się wywoziło. No i wielbłąd idzie, idzie, idzie, zmęczony, przecież to jest też zwierzę. No a ja szybciej, bo zaraz trzeba drugi raz jechać, bo normę zrobić. No bo tam widłami przez tego, nie? A on tylko: – A, q, q... I on jutro, na jutro nic nie robi, pojutrze nic nie robi, a później tak naładujemy, on idzie. I tak ja go tak, zajdę, proszę, a on: – Rrrrr... Jak rzgnie tym wszystkim, to co żuje, nie? Ja stoję: – Aleś mnie urządził. A on tak się śmieje. Bardzo dobrze. I to dobrze, że zaraz Weduga płynęła, to do wody i tego. I tak się żyło. Żyło się do tego dnia faktycznie, już później ojciec do wojska. A i teraz tak, ojciec ma iść do wojska i ma zaświadczenie, prawda? No bo tam bez zaświadczenia do wagonu pana nie puści, nie? I nie ma miejsca. No ale ma skierowanie do wojska. Nie ma miejsca. I zostawiam, i transport, i pociąg jedzie. Raz, drugi raz. To ja na to konto, jak ojciec szedł, to taki czugun [garnek] robiłem kaszy, dajmy na to pszenicy, i żarna, się kręciło, proszę pana. I tak: – O, poszedł tato, to jedno jedzenie będzie więcej, będzie zawsze to coś, nie. Patrzę się, prowadzi tata z powrotem, myślę „Kurka no mać”. Ja myślałem, że pojem, nie a tutaj nie ma. No i tak. I już mama już później, jak trzeci raz ojca odprowadziła, konduktorkę za tęg, tata do wagonu i pociąg poszedł. I mówi: – Jedź, tato! I tak na wojnę mama tatę wyprowadzała.

Szymon Nowak: Czyli tata tam do tej armii Andersa, tak?

Szudrowicz Stanisław: Nie, nie, nie, nie. To on już, on poszedł do armii, bo...

Szymon Nowak: Berlinga?

Szudrowicz Stanisław: Tak, tak. No tak tutaj, bo on jest raczej tego...

Szymon Nowak: Kościuszkowcem..

Szudrowicz Stanisław: Tak, tak, bo tutaj, do tej Kościuszkowskiej. No taki przykaz był. No i proszę pana, jak on poszedł do tego wojska, poszedł do tego wojska, no troszkę bieda, no bo zawsze gdzieś tam coś, wie pan. Ale był taki pan w magazynie z roku 1936 i poprosił mamusię, żeby u niego sprzątała w magazynie. A był to magazyn wojskowy, znaczy, to wszystkie, na front co szło, nie? Tam były takie worki eleganckie, lniane, jak tam przesypywali siemię lniane, a to nie było. I tego wszystko, ale wszystko było pakowane. I moja mamusia tam sprzątała. No i proszę pana, no tak powiem prawdę, uszyła sobie worek w majtkach, tutaj, nie? No w kroczu uszyła sobie. I proszę pana i raz przychodzi, to tam sprząta, a to na te worki... A to się przechodziło jeszcze przez... Przez kontrolę, bo jak do pracy się szło – kontrola i z pracy – kontrola. Badali, czy co nie wynosi. I moja mamusia tam sprząta i patrzy się, ktoś tam szmera. Ale wychodzi i patrzy, a strażniczka jedna tam ładuje worki, kradnie. Wiadomo, no ludzie, a to worki takie, że można było takie spodnie, kalesony uszyć. No len. Moja mama się odwróciła, a ona zobaczyła, że mama stoi się i patrzy na nią, przyszła i mówi im – Hala, nikomu nie mów, bo mnie na niedźwiedzie wywiozł. Mama mówi: – A co mnie to obchodzi? To nie moje. Mnie to nie interesuje. Mówi: – Zobaczysz, będziesz tak żyła. A mama mówi: – Ja nie chcę, ja nic nie biorę. Mama zawsze sobie tam usypała coś, trochę, nie? No zawsze, pewno tam kilogramami nie. I później jak przechodziła przez kontrolę, to oni ją tak, już koleżanka koleżance powiedziała, to oni mamę tylko tak: „Uchodź”, z góry na dół tylko palcami przeciągnie. Ale było dobrze, ale pewno, że nie nosiła tonami, nie? Ale tak, żeby się najeść. Jak ładowało się... A i co jeszcze powiem, dla wojska ładowali świnie. Znaczą, dla wojska tego, ale to wymrozili, bo to mróz 50 stopni, 40 stopni mrozu, to do lodówki nie trzeba. To jak te połówki noszą do wagonów, a siostra chodzi tam koło tego, może mama jakieś tam wyrzuci, jakieś sadło oberwie. No i tak musiała nieraz chodzić i jak kładła sobie to tu, to tu, to jak później przyjechała z tej Rosji, jak doczekała swojej, to tak ręce powykręcane miała moja mamusia z tego mrozu. I tak się żyło i później jak już przyszło ten front, znaczy, jak już nasi na froncie, tutaj tato pisze to, tego, tamto i proszę pana, dochodzi do tego, że znowu przyjeżdżają, Wojsko Polskie przyjechało tutaj i zbiera tych ludzi, co nie podpisali obywatelstwa. No i trafiliśmy, zaraz nas zabrali i znowu jechaliśmy, proszę pana, załadowali nas do transportu w zimę. W marcu to było zimno cholera. Mamy do stacji 20 kilometrów, a mamy jedne buty. I to jeszcze takie. To tak, szóstka siada na sanie w słomie, jeden ubiera buty i za saniami leci. Jak się zgrzeje, to wchodzi, buty ściąga, ubiera drugie i znowu takie na zmianę. A dalej się zjechało, przyjechało się do wagonu, zapisywali, a on jeszcze tak pisze, to pisze tak, jest zimno, on zmarznięty sam. I też ładują nas, tylko już nie po 50 osób, tylko tyle, ile mają być. No i już jest opał w wagonie, już wszystko było tego, tamto. No i tak jedziemy do Polski. Przyjechaliśmy do Polski.

Szymon Nowak: A który to rok był?

Szudrowicz Stanisław: Proszę?

Szymon Nowak: Który to rok był?

Szudrowicz Stanisław: Zaraz, zaraz.

Szymon Nowak: Marzec, ale... 1945?

Szudrowicz Stanisław: Nie, to już 1946 był. To już 1946, marzec. Ja już mówiłem, że to marzec był. No i proszę pana, była zima, jak Holender tam u nich. Nas przewieźli, tylko jak nas wieźli i jak żeśmy byli, zaraz przez tę samą wioskę jechali nas... Jest polskie nazwa wioski, miejscowości Zbrucz i nazwa miejscowości tej i tej, tylko że to ruska. Podwołczysk [?], czy jakoś. No mniejsza z tym. To nazwa tylko, znaczy jednakowa nazwa, tylko że to rosyjska wioska była. No i proszę pana, jak nas tam przywieźli, to tylko kazali być cicho i zdjąć flagi polskie. Bo się bali tu o bandy, żeby nie tego, no wie pan, myśmy się cieszyli, że jedziemy, już tak radośnie myśmy wyjechali, nie? No i to do samego Lwowa, żeśmy dojechali i to wtedy można było już założyć, znaczy, flagi mogły wisieć. I stamtąd przywieźli nas do Opola. W Opole nas rozparcelowali. Ale pierwsza moja... Aha, przed wyjazdem mieli dać nam, Ameryka przysłała dla nas ubrania, bo my w kufajkach byliśmy. No takie kufajki: wata tu, wata tam. No i proszę pana, a nie dostaliśmy kufajek, znaczy, nie amerykańskie, tylko ruskie kufajki. Też porwane.

Szymon Nowak: Czyli ktoś wziął, tak?

Szudrowicz Stanisław: No to oni sobie pobrali, a nam tam dali tak. I tak się jechało. Przyjechaliśmy do Poznania, pamiętam, bo w pierw byłem w Opolu, stamtąd mamusia chciała wagon i pojechaliśmy do tego, bo w Poznaniu, w Wągrowcu mieliśmy rodzinę. Znaczy, ojca rodzina już tam. I żeśmy przyjechali tam, wiadomo, przyjęli nas. Na drzwiach „tyfus” pisze, z jednej strony wpadliśmy na drzwi, a to oni specjalnie, żeby Ruscy nie przychodzili do tego. No i proszę pana, miałem taką przygodę, nas od razu tam wujek ogolił, bo to wszystko brudne, wszystko z nas pościągali, tam dla nas mieli już, bo to ojciec już tam uszykował wszystko, mieli ubrania, tego wszystko, tego i na ogród, wanna i fryzjer i wszystko golenie. I ja pojechałem, bo razem, żeśmy się nie zabrali, bo jeszcze siostra tam malarię miała, to ją rzuciło, trzeba było specjalnie jechać tym, takie Pruszkowo tam, to była w lesie taka stacyjka, to myśmy całą noc jeszcze siedzieli na stacyjce, a ja rano dopiero poszedłem do tego, bo tak drogę niby znałem, no i proszę pana, trzeba było jakoś tego, to jak ja przyjechałem, znaczy, z mamą i siostrą, później to mama brata nie poznała, mówi: – A to kto? Mama syna nie poznała. No i tak później wszystko pięknie, ładnie szło, tato przyjechał. A i teraz kładą nas spać, no bo do spania, sobie myślę: – No ale teraz już coś pojemy. Przychodzi z sieni, a to było przed świętami akurat, jakoś tydzień przed świętami, ja pamiętam. Byliśmy wykąpani z bratem i leżymy w łóżku, bo każą nam spać, a my leżymy w łóżku, a wujek przyszedł z pokoju, tam spiżarka, a ja patrzę, on otworzył: – O matko jedyna, kurcza pieczona! Tym smakiem się najadłem, nie? A mówię do brata: – Cicho bądź! On tylko jak pójdzie, a my myk. On wychodzi, kluczyki i zamyka. Mówię: – O kurde, najadłeś się. I my tak tego, dali nam, tak naprawdę będę mówił teraz, tak jak było, nie. Dali nam po kromeczce chleba, a maselko tak... I jeszcze babcia ściągła, nie. Krowy w domu, bo wiem, że... wiem, jak tam jest, nie? Krowy w domu, a oni, kurdka, masło jeszcze ściągają. I dali nam takie melzupki, robili tam, jakieś, no... tak jak tam na wsi było. No mnie to smakowało wtedy, tej melzupki. I dali: – Zjecie trochę? A mówimy: – Kurdka, no właśnie, tam wisi tyle. A takie zapachy idą, a mnie aż tu, aż tego. No i tak nas... Tato przyjechał za tydzień czasu.

A tak jak tam babcia mieszkała, i jak było, jak tato od stacji szedł, to tak było widać daleko od szosy, nie? I my tak z bratem siedzieliśmy, mówimy... A i tak dają nam jeść. Troszkę więcej, troszkę więcej, troszkę więcej, nie? Tam jakieś zupki ugotują, ten obiad, to jeszcze takie, ale... ale już jest, nie? Tylko nie tak, jak ja sobie zobaczyłem, że tam takie ścierwo wisi, a tu nie ma nic, nie? No i tak, i widzimy, tato ma już przyjechać po nas, ja powiedziałem: – Idzie ojciec! To my biegiem z bratem od ojca. – Ale nas uszykowałeś, jak żarcia tyle w tym, a oni nam tylko tu po kawałeczku dają. – Ja tak kazałem. Jakbyście weszli do tej spiżarni, to was by wynieśli.

Szymon Nowak: No tak, bo to skręt żołądka.

Szudrowicz Stanisław: Tak. No ale człowiek wiedział? Jak tu tak pachnie... O Matko jedyna! Jak proszę pana, byliśmy już tutaj w Dniepropietrowsku, to proszę pana, myśmy, jak jabłonki zakwitły i jabłuszka mieli, to my wszystko zbierali i jedli. Aż kora po zębach szła. No i tak widzi pan, żyło się. I wszystko, i chodziło się. Proszę pana, w butach chodziłem, mróz pięćdziesiąt stopni, chodziłem w takich butach, że tutaj na pewno by pan nie chodził. Szmatami się owijało nogi, do wiadra, z wodą stało, zabrał nogę, podtrzymał na mrozie, drugą nogę i chodził pan cały dzień i suche nogi miał i ciepło w nogach. Bo pierwsza szmata złapała wodę i się zrobił lód, a tamta sucha pod spodem. I tak się chodziło w walonkach. Kufajka, wata z tej strony, wata z tej strony. Chciał rozpalić, watę wyrwał, kamienie. Podmuchał, zapalił. Proszę pana, papierosów nie paliłem i nie palę. Wziąłem raz, bo dawali machorkę taką, a to taka machorka była, bo mężczyźni palili, liście takie z tego, to dawali machorkę, ale korzenie tak siqpane i się robiło taką trąbkę, do tego, taką fajkę się paliło, taką matroskę ruską, nie? I ja to raz zapaliłem, idę w tajdę i ktoś mnie w pyszczydło, nie? Nie wiem po dziś dzień, czy to połknąłem, czy mi wyleciało. Patrzę: ojciec. To był mój pierwszy i ostatni. Nic mi nie powiedział, ani się nie odezwał. A ja sobie mówię: – Przez durnego papierosa? Może to połknąłem? Nie wiem. No i tak, przyjechało się, proszę pana, do Polski.

Szymon Nowak: No właśnie, jak się potoczyły dalsze losy pana, już w Polsce?

Szudrowicz Stanisław: No w Polsce, przyjechaliśmy do Rosji, bo ojciec dostał dom. Z wojska, bo już do rezerwy poszedł, dostał w Miłkowicach, koło Legnicy w Miłkowicach dostał domek i 6 hektarów pola, nie? No bo tak dawali. No i tak było. A że później ojciec, mieliśmy areszt domowy, 3 miesiące, ORMO nam przynosiło jedzenie i do szkoły nawet nie wypuszczali. I ojca zamknęli. Przychodzili później, całe podwórza pikami szukali.

Szymon Nowak: Ale za co ten areszt?

Szudrowicz Stanisław: Mój ojciec gdzieś tam się coś... Był w jakiejś... – No jak był przed wojną w Straży Granicznej. – No ale już później też tam. – No tak. – Mój ojciec się ukrywał, ukrywał się. Zawsze przychodził smutny i coraz więcej. No i faktycznie później zmarł. Zmarł, miał 80 lat.

Szymon Nowak: A proszę jeszcze powiedzieć, pana tata w tej armii Berlinga na froncie gdzieś tam walczył? Czy pod Lenino był?

Szudrowicz Stanisław: No to szedł do samego Berlina.

Szymon Nowak: Ale był w tej 1 Dywizji Kościuszkowskiej?

Szudrowicz Stanisław: Proszę?

Szymon Nowak: Czy w 1 Dywizji Kościuszkowskiej, czy w jakimś innym oddziale?

Szudrowicz Stanisław: W Pierwszej, w Pierwszej. I tak szedł. I później tak, ojciec do pracy. Pracował też, taki urząd likwidacyjny był, później pracował w szkole dla niepełnosprawnych, w magazynie, tak tego i... Szklarska Poręba, w pracy ojciec był. I tak go szukali, szukali. Ruscy, na przykład ja z Ruskimi, w Rosji, dajmy na to, byli dziadkowie, którzy pamiętali cara. Koło naszych baraków taki dziadzius przychodził i mówi: – Nie ma jak to było za cara. Tu się poogląda, nikogo nie ma. Ja raz idę, proszę pana, a tam musiała tak, wojna, koni nie ma tego, i musiały krowy robić, nie? Szli w pole bronować tego, a ten dziadzius zbił gwóźdź do progu, prowadzi krowę, nastawia nogę i żeby stanęła na ten gwóźdź. Stanęła na gwóźdź i kuleje i do pracy nie może iść, i do weterynarza i zwolnienie, nie? A ja naszedłem na to. A on mówi: – Słuchaj Stanisław, nie mów nikomu, bo mnie zaraz na białe niedźwiedzie, pomimo, że ja już stary jestem. Mam wnuczkę, a krowa jak pójdzie w pole, to mleka mało daje, nie? A tak jak będzie w domu, zawsze tego mleczka. No i panie, i pan by... no, powiedz pan. Proszę pana, i było płaczu, moja mama płakała jak już na Ukrainie: – Staszek, nie chodź! A ja miny rozminowywałem, pociski rozminowywałem. Mówi: – Stasiu nie rób, bo narobisz coś kłopotu. Nie, panie. Ja pocisk z tych, jak to rusznice, jest duży, ja w palcach, z palców wystrzelę go. Te pociski artyleryjskie ja rozbiję, ale nad dołem, nie? Tak, żeby w razie czego to... Mama zawsze płakała: – Staszek, co ty! – Mamo, co się przejmujesz? I tak, jadło się wszystko, muszę wam powiedzieć. U mnie nie ma, to wszystko trzeba jeść. A broń Boże chleb. Chleb trzeba tak szanować, bo jak ludzie... Widzi się, widzi co jest, ile wisi po śmietnikach chleba. Wczoraj nawet widziałem, jakby całe bochenki chleba wiszą, no faktycznie, że nie wyrzucają, tylko wiszą, bo jakiś pan tam jeździ i zbiera, może świniom albo tego. A ile w koszach jest chleba? A ile szynki jest w koszach, kiełbas? No bo to ma pieniądze, nie? No, nie jest tak? Zamiast to wziąć, w torbie przywieźć, wózek wiezie. Pewno, że nie ma pieniędzy, jest źle, a są pieniądze, też jest źle. Ja wiem, że... Ja przed wojną, proszę pana, szedłem do szkoły, nie chciałem wziąć kanapki. Mówię: – Mamusiu, daj mi pieniądze. To mama mi dawała 5 groszy, to jest takie duże, tak samo jak dzisiaj. Szedłem koło piekarza, wziąłem bułkę, taką kwadratową, bo na Śląsku tak robili, z serem. To proszę pana, dał mi tę bułkę, wydał mi trzy grosze, poszedłem koło cukiernika, dał mi cukierków i jeszcze mamusi grosza do domu przyniosłem. Pięć groszy. A mamusia, tatuś przynosił mój pensję przed wojną 450 złotych. Mamie wysypywał na stół, bo nie było papierkowych, nie? Tylko złoty, znaczy, srebro było i tak. To wysypywał, przynosił w takiej czapce okrągłej, tak jak tu go mam, w takiej czapce. Wysypał taką kupę pieniędzy. Służąca do mamy i do dzieci. Było nas dwójka, bo siostra była w domu dla głuchoniemych w szkole w Lublińcu. Bawili się, żyli, jeździli, budowali się, na wschodzie się budował przecież, bo to przyjeździemy, będziemy mieli dziadków, ogród piękny, sad, tego, wszystko jest. I wszystko poszło z dymem. Znaczą, nie z dymem, bo jest to.